

Zdzisława Górska

Zasłona

Do obręczy roku brak siedmiu dni
Wtedy była pełnia i niebo
w kobaltowym cudzie łaskawe
Płynęłam z przestrzenią
Dziś już po pełni i mgłą gęstnieje
niedopowiedzeniem
zachłannych oczu

W draperię mgły wpinam
czerwoną różę
dekorację snu i jawy
W azbestowej klatce Bretona
reszta

Wszystko minie w niemym filmie
jak obraz w ciemnych okularach dnia
w tajemnicy mgły

będzie wirował
na orbitach róż
nie zerwanych

Zawirowania

Sądziłam, że potrafię odczytywać znaki
nawet puste przestrzenie między wersami
Znam jedynie alfabet od a, ale czy do zet
i dziesięć mocnych cyfr, którymi można
określić obecność kwazarów i komet
w nieobliczalnym kosmosie
Nie potrafię rozsypać bólu i zwątpienia
z innej częstotliwości przeczuci

Czym pomóc i nie dotknąć boleśnie
Sen nie schodzi ze srebrnych dachów
nieba
W pełni oczu czy księżycu jak nazywają
się łązy

Z twarzą odwróconą do ściany
trwam w pustostanach domysłów
wybitych nagle okien
i rozsypanych bez ładu cegieł

Odcienie

w oparach ciekłego azotu
zamroziłam myśli i siebie
mocno udawany stan skupienia
nie eliminował obrazów
ani barwy głosu

nie zamierzałam obudzić się
nigdy
na przejściach dla pieszych
uważałam bezwiednie
nie było światła w kolorach

kto ma klucz do nieba

słowem otwiera głębię kosmiczną
w odcieniach galaktycznych barw
i spadających płatków róż
aromat jest wieczny

Nieporozumienia

Często zacinam się na długo i na smutno
słowa więzną w przesmyku prawdy
Niby nic – pozorny spokój a
dusza rozrasta się jak namiot cyrkowy
Tresowane zwierzęta są jakby szczęśliwe
Robią co każą za kostkę cukru
lub nieświeżą rybę i pejcz tresera

Koń marzy o trawie pod dawną jabłonią
Foka, cóż nawet nie ma nóg, ani morza,
wokół trociny areny
Jeszcze ta piłka na nosie
Lew umiera ze strachu przed płonąącą
obracząc, ile razy można...

Pierrot ma namalowane łyzy czarnym tuszem
Kolombina udaje woltyżerkę
w trudnej pozycji braku miłości
Cały ten cyrk pali ogniem nieporozumienia
jak dymy **na wschód od Edenu**,
jak krew na morzu niewinnym

Wszystko staje się nieporozumieniem
nawet zbyt wczesna wiosna i białe
przebieśnięgi

Inesa Kruszk

Pytam ciszej

– co teraz? – nauczona milczenia nie odzywa
się,

milczy jak milczała.
godzina zmienia wymiar, jest głęboka i wolno
oddycha,
wpadam w nią i nie potrafię się wydostać.
godzina trawi mnie swoim wnętrzem
i przychodzi na myśl
owadożerna roślina z całym okrucieństwem
biologii.

– co teraz? – cisza obraca się o godzinę, nadal
milczy,
przypominam sobie wiersze, w których obrazy
zlewały wszystkie wody świata,
a w nich każda ludzka myśl nasączała się to
bólem,
to lekkością, ale nigdy nie potrafiła być czysta.

człowieczeństwo to długie słowo,
bawię się w odczytywaniu go w innych
językach,
dźwięk jest jak dłuto, nadaje kształt
przestrzeni,
ostre krawędzie ranią, więc mówimy do siebie
coraz czulej.

– cisza na pewno słyszy – tylko udaje milczenie.

wyczyśćmy wiersze z bolesnych fraz, będą się
ocierać jak koty
i mruczeć, nikt nie będzie mieć alergii,
bo nie można mieć uczulenia na wiersze.

Per capita

boimy się, a nie powinniśmy, statystyki
wychodzą pomyślnie,
ekonomiści dyskutują o niektórych
dylematach teorii wzrostu gospodarczego,
nie wiem, dlaczego autor cytuje fragment
platońskiego mitu o jaskini.
siedzimy w pokoju, za oknem wojna kruków
o kawałek bochenka
rzuconego pod śmietnik, niedziela przed
zimą, piszą, że pojawi się nagle,
zawsze po pełni zmienia się pogoda.

nie prowadzimy dialogu, wewnętrznym
monologiem karmimy lęk.
z metaforycznej pogody ducha zostały zdjęcia
mew na Rozewiu,
mój portret i motyl wydrukowany w dużym
formacie.

przypominanie zamienia się w wypominki,
jakby były możliwe podróże w czasie,
mogliśmy jechać, na przykład do Pragi,
jednostki pieniężne przeliczają się, wybór
waluty to nie wybór ojczyzny, której nie
wybieraliśmy, wybrała sama, nawet
udało się uwierzyć w bociana, wierzby,
mazurki.

język wyznacza granice poznania, jeśli
przestanę czuć smak,
wiem, że spróbujesz z solą, ale boimy się, że za
słono to wszystko.

siedzimy w jaskini zwróceniu do ściany, trzymam
nas lęk.

Sens życia

alchemiczna tajemnica, trudno utrafić
z recepturą.
oszukujemy się, oszukano nas, kiedy w rany
wsączaną poezją
próbowano leczyć ból.

– kup mi sens życia, może być używany, tylko
sprawdź metkę,
czy można pracować w palce, tak będzie łatwiej.

– wiosna zalotnie udaje, że zrodzi soczyste
jabłko i twardy orzech,
ale jak mam dostrzec sens w jabłku, orzechu
i wiośnie.

jak długo będę ukrywać, że nie poznałam
alchemicznej tajemnicy
i tak naprawdę nic nie miało sensu, nawet
wiersz spisany z ran i śmiechu,
kiedy z wypiekami na policzkach idę boso,
brzegiem morza,
idę, jakby to miało sens.